

I ja tam byłam...

Co robić? Iść do teatru na monodram Ryszarda Hanina, czy do „Arlekina” na „Cień” Romana Więckowskiego?

Wybrałam „Cień” — widowisko prawie autorskie, z amatorami w środku.

Panią Hanin obejrzą sobie od biedy w telewizji, a pan Więckowski, jako artysta, może się okazać niepowtarzalnym.

Tak chyba myśleli i szefowie naszej wojewódzkiej kultury. Ba również wybrali pana Romana. Ale może chcieli zobaczyć tylko na własne oczy to, co wysponsorowali. A wysponsorowali tyle, że pewnie jeszcze teraz słone rachunki po nocach im się śnią.

Zawistnych kolegów z biedniejszych przybytków kultury nie zauważyłam (może już całkiem pomarli z tego chłodu i głodu?). Tak że widownię wypełniała publiczność wdzięczna z góry, czyli bliżsi i dalsi krewniacy wykonawców, jak również szkolni koledzy i koleżanki. Oraz studenci pana Więckowskiego, co jeszcze nie mają jego podpisu w indeksach.

Tylko w paru miejscach pole podmińowane było żurnalistami, chowu jednak lokalnego, czyli nikim specjalnie ważnym.

Zanim wpuszczono nas do środka, na niby — bangladeszu obejrzelismy naszą codzienność: stary telewizor z muszlą klozetową i kurę-statystkę, która z powodu chudości nie poszła do rosotu.

Potem dwie panienki o buźkach jak u Stuksów dawały ściągę do zrozumienia spektaklu. A potem był już pokaz mody. Z licznymi modelkami i jednym modelem do wszystkiego. Dalej jakieś dziewczyny sypały kwiatki do późnej starości, a kilka innych bardziej sexy, reklamowało maski przeciwwgazowe i fryzury Rzepichy.

Co było jeszcze dalej, opisać nie sposób. Bo strojów nowiutkich, rekwizytów, pomysłów i efektów tyle pokazał pan Więckowski, że i sam Kantor (gdymy jeszcze żył, i Mądzik, i cały Teatr Stumogliby mu pozazdrościć.

Dajmy na to wojskowe hełmy. Jak je zamknąć od dołu lusterkiem zacząć sa

me z siebie puszczać wesole „zajęczki”. Albo lotnie dziewczyn, śniących o wzięciach bez upadków. Albo maski, może greckie, może afrykańskich czarowników. Lecista muzyka, snuł się dym, pa dał złoty deszcz. Była jedna rozbiórka i jedna męsko-damska przewalanka (na niby, na niby...). Tak że nie nadążały oczy i uszy, a mózg całkiem stanął.

Wyjęłam ukradkiem program: „Teatr, muzyka, kolor, słowo... czy mogę wtapiać się w siebie? Nie o ideę sztuki totalnej tu chodzi. Raczej o coś co jest być może dziwnym pokrewieństwem materii. Co pośrednie, wewnątrznie sprzeczne, subtelne...”. Sięgnęłam po ściągę: „...Widzowie mogą i powinni patrzeć dalej i wyiągać wnioski. Nic co ludzkie nie jest nam obce”.

A na scenie migotało światło z lampy stroboskopowej, miotala się Śmierć z białymi akcentami na apetycznych poślach. Dybiąc oczywiście na żywych, którzy się jej nie dawali. Wreszcie ostani akcent rewii mody — para nowożeńców. Ona w dziewiczej bieli, On z twarzą zakrytą i napisami, że pewnie ma co i do rozporzka schować, oraz że przedtem był dziewczyną. Idą na przyjęcie weselne, z tortami i dyskoteką. A my za nimi.

Po drodze pociągam za rękaw pana Piersiaka, głównego eksperta od „Arlekina”.

— Niech mi pan powie, błagam, o co tu chodzi?

— O, rzekł po namyśle, do tego kąt dy powinien dochodzić sam.

No to przyparłam Śmierć do muru.

— To rzecz o problemie wyborów. Zycie się z nich składa. I zaproponowała: Zatańczymy?

Rzuciłam się w stronę Autora, który właśnie rozglądał się za gratulantami.

— Chciałem pokazać, jakie wpływy kulturowe nas kształtowały. Różne trojki i pęknięcia. Chodziło mi o treści uniwersalne.

Pod szatnią grupka młodych ludzi rozszepiała włos na czworo. Jakby zaraz wszystko trzeba było rozumieć.